

LEGENDA O SMĘTKU Z ORLA

Działo się to dawno, bardzo dawno temu na Północnych Kaszubach. Jechało się wtedy na koniu półtora dnia z Gdańska do Pucka. Były to czasy bardzo niespokojne. Na tym terenie roiło się od najeźdźców Szwedów i wszędobylskich Krzyżaków. Szwedzi napadali na wioski kaszubskie w poszukiwaniu pożywienia i cennych łupów. Nękali ludzi pracujących samotnie na polach, napadali na rybaków i kupców płynących zatoką, grabili co się tylko nadawało do jedzenia i ubrania. Często uprowadzali ludzi w niewolę, zwłaszcza młode kobiety, które potem sprzedawali bogatym Tatarom. To ciągle zagrożenie ze strony Szwedów i Krzyżaków zmuszało Kaszubów do samoobrony lub do ciągłej ucieczki w pobliskie lasy. Bogatszy Kaszuba prawie nigdy nie rozstawał się ze swoim koniem i szablą, biedniejszy zawsze miał pod ręką widły, cep albo sierp. Układając dzieci do snu Kaszubki opowiadały im bajki o złych Szwedach: że są straszną plagą tej ziemi, że słowiki nigdy nie śpiewają w gaju gdy w nim obozują, że milkną na niebie skowronki gdy nadciąga wojsko. Że za nimi lecą stada kruków i wron, bo zawsze mają one wspaniałą ucztę tam, gdzie pojawiają się źli najeźdźcy.

We wiosce Domatowo żyła sierotka osiemnastoletnia Kaszubka o imieniu Ana. Wprawdzie nie była żadną czarownicą i nie znała się na magii, ale jej niezwykła uroda i prześliczne oczy tak skutecznie czarowały młodzieńców, że w całej okolicy nie było chyba ani jednego młodego Kaszuba, który by się w niej po cichu nie kochał. Ana miała ogromne powodzenie u chłopców, jej chata zawsze była chętnie przez nich odwiedzana, zawsze słyszało się w niej dziarskie pieśni kaszubskie, radość i śmiech. Działo się tak aż dopóki w czarnookiej Anie nie zakochał się bardzo romantyczny smętek, który spotkał ją na drodze do Pucka. Wołali na niego Joszel. Żył w pobliskiej Puszczy Darżlubskiej, wszyscy go znali. Przybierał ludzką postać, różki przykrywał czapką a ogon chował w pantalonach. Pamiętnego dnia stał na skraju lasu, popatrzył na Anę, obejrzał ją od stóp do głowy i już wiedział, że jest ona jego przeznaczeniem. Nagle wszystko wydało się jemu jakieś obce, niepotrzebne — i piekło, i niebo, i grzechy ludzkie, i wszystkie kobiety na świecie. Nie interesowało go absolutnie nic, co nie było jego Aną. Oszalał na jej punkcie. Nie chciał już psocić i kusić ludzi do grzechu. Chodził za Aną jak cień i mówił:

— Bądź moją żoną, Ano. Kocham tylko ciebie.

Miejscowi Kaszubi dziwili się bardzo, że Joszel nie kusi ludzi do grzechu, ale po jakimś czasie przestali się dziwić, odkryli całą prawdę. Młodzi Kaszubi już nie przychodzili do chaty Any, bo nikt nie chciał być rywalem smętka. Jej chata była teraz zawsze pusta, nie słyszało się w niej ani pieśni kaszubskich, ani śmiechu. Tylko smętek zaglądał codziennie zaniedbując swoje obowiązki psotnika i kusiciela. Ana martwiła się ogromnie, często robiła jemu wymówki:

— Zamiast kusić ludzi do grzechu, psocić, tak jak to czyni każdy smętek, ty wciąż włączysz się za mną, nie wiadomo po co.

Piękna Ana martwiła się, chodziła przygnębiona, nieraz płakała sobie ukradkiem, aż wreszcie pogodziła się ze swoim losem.

— Dobrze, będę twoją żoną — powiedziała Joszelowi. — Ale stawiam jeden warunek. Ty potrafisz latać nad ziemią jak sokół bystrooki, jak orzeł. Lataj nad Kaszubami. Znajdź takie miejsce, na które nigdy nie napadają Szwedzi i Krzyżacy, gdzie można żyć bez ciągłego strachu o swoje życie. Zaprowadź do tej krainy mieszkańców naszej wioski. Aby zakochani mogli tam bez obawy wdychać przy blasku księżyca, zrywać kwiaty na łąkach, spacerować w sadach wśród kwitnących jabłoni i wiśni; aby Kaszubi mogli spokojnie pracować na polach, kosić trawę na łąkach, młócić cepami zboże w stodołach.

— Znajdę taką krainę — rzekł Joszel. Już za chwilę unosił się w powietrzu, nad piękną Ziemią Kaszubską w poszukiwaniu rajskiego miejsca.

Smętek bez większego trudu odszukał ziemię obiecaną dla Any. Lecąc na południe wzdłuż doliny rzeki Redy trafił na bezpieczne miejsce. Była to kraina nieprzebytych bagien, nad którymi unosiły się ogromne chmury komarów, kraina z jeziorem, w otoczeniu lasów i łąk, kraina odcięta od świata. Gniazdowały tam orły, dlatego okoliczni mieszkańcy nazywali ten teren Orlimi Gniazdami, z czasem została tylko nazwa Orle. Joszel obejrzał dokładnie te lasy i jezioro, wrócił do Any i rzekł:

— Ziemię obiecaną znalazłem.

W tamtych czasach Domatowo było małą wsią, liczyło 12 gospodarstw i 142 mieszkańców. Gospodarze pracowici, przeważnie żniwa były obfite. Obory, stajnie, chlewy i kurniki pełne zwierząt. Cóż z tego kiedy zaborcy ciągle napadali i zabierali cały dorobek. Ana ogłosiła mieszkańcom Domatowa że smętek znalazł bezpieczne miejsce na Kaszubach.

Tylko połowa mieszkańców wsi zgodziła się wywędrować do ziemi obiecanej, do zakątka Orlich Gniazd. Inni nie chcieli nawet i słyszeć o porzuceniu swoich zagród.

— Ziemia nasza jest bardzo niespokojna, to prawda — mówili — ale jesteśmy przecież tutejszymi Kaszubami i nie porzucimy ziemi naszych dziadów. Nie pójdziemy stąd nigdzie, zostaniemy tu na zawsze.

Chętni do ziemi obiecanej Domatowianie ruszyli pieszo wczesnym rankiem, pędząc przed sobą skromny dobytek, cztery krowy, małego byczka, 6 średnich świnek i 16 gąsek. Były tylko dwa wozy drabiniaste ciągnięte przez dwa konie. Na wozach poukładano worki ze sprzętem domowym, ubraniami i małym zapasem jedzenia. Znalazło się też miejsce dla starców i małych dzieci. Pomimo nie tak dużej odległości do celu na ich drodze były niezliczone przeszkody: gęsta Puszcza Darżłubska, mokradła Lasów Piaśnickich i zdradliwe bagna. W tej sytuacji smętek okazał się wprost niezastąpiony. Miał wzrost przeciętnego człowieka, a siłę wielkoluda. Kaszubi nie mogli wprost nadziwić się jego sile i możliwościami latania w powietrzu.

Po południu zmęczeni wędrowcy ujrzeli jeźdźca galopującego przez leśną polanę. Był to zwiadowca drużyny wojewody Wejhera, pewnie z okolicznego obozowiska. Dojeżdżając do nich krzyczał:

— W okolicznym lesie pojawiły się drużyny Szwedów. Wiadomość o tym przekażcie napotkanym wędrowcom - Szybko oddalił się.

W obozowisku Domatowian zawrzało jak w ulu. Mężczyźni i chłopcy przygotowywali widły, kosy i strugali długie kije. Kobiety płakały, chowały żywność i cenne rzeczy. Wkrótce w powietrzu pojawiły się stada kruków i wron, a w oddali słychać było odgłos łamanych gałęzi, krzyki i rzenie koni. Był to nieomylny znak, że Szwedzi są już niedaleko.

Spokojny Joszel, zdziwiony paniką ludzi, chwycił do rąk wielką brzozę, wyrwał ją z korzeniami, wzniosł się wysoko nad ziemią i poleciał na spotkanie ze Szwedami. Lecąc na dużej wysokości mógł dokładnie określić miejsce i liczebność wroga. Z góry zauważył dwudziesto osobową, dobrze uzbrojoną drużynę szwedzką, przedzierającą się przez gęstwiny lasu. Smętek obniżył swój lot, zamachnął się brzozą i powalił wszystkich Szwedów na ziemię. Przerażeni i pobici najeźdźcy zaczęli uciekać przed Joszelem. Ale uciec było rzeczą niemożliwą. Smętek leciał w powietrzu jak wichler, sprawnie obracał w swoich rękach brzozę i tłukł uciekających. Z pośpiechu pozostawili konie z całym ekwipunkiem, przydały się wędrowcom. Przedzieranie się przez gęste i podmokłe lasy z dobytkiem było dużym wysiłkiem.

Minęło kilka dni a wędrowcy przebyli najwyżej 7 kilometrów. Mężczyźni wstawali o wschodzie słońca, oporządzali dobytek i pakowali na wozy obozowisko. Kobiety doily krowy, gotowały śniadanie. Po śniadaniu wszyscy szli dalej. Smętek był zawsze na uboczu, tylko zerkał na Anę czy aby krzywda jej się nie dzieje. W południe przesiedleńcy

zatrzymywali się na krótki wypoczynek i skromny posiłek. O zachodzie słońca mężczyźni rozpalali ogniska. Kobiety doily krowy, gotowały kolację i wkrótce wszyscy zasypiali. W nocy Joszel czuwał nad bezpieczeństwem śpiących ludzi.

Pewnego dnia przed zachodem słońca smętek wzniósł się wysoko w powietrze, obejrzał okolicę. W oddali rozpoznał obiecaną krainę Orlich Gniazd.

— Widzę przed sobą polanę śródleśną, porośniętą pyszną trawą — krzyknął Joszel. — Tam dotrzemy za kilka godzin, tam też zbudujemy ziemianki.

Była pełnia księżyca. Wędrowcy postanowili iść dalej nocą, aby jak najszybciej, rankiem dotrzeć do polany. Idąc po zachodzie słońca, Domatowianie popełnili bardzo wielki błąd, który sprawił im przykrą niespodziankę. Zbłądzili, przy słabym świetle księżyca nie dostrzegli oni tego, że w lesie dziewiczym, przez który przemieszczali się, spacerują chatki na kurzych łapkach, a spoza wiekowych drzew z wielkim zaciekawieniem spoglądają na przybyszów jakieś dziwne istoty. Joszel nie zauważył tych dziwactw bo właśnie marzył o wspaniałym domku, który zbuduje na ziemi obiecanej i zamieszka w nim razem z Aną. Wkrótce Domatowianie ujrzeni w świetle księżyca dziwne miejsce porośniętą bujną, różową trawą. Na polanie pasły się jakieś kozy z pięcioma rogami, ale na widok przybyszów natychmiast uciekły do lasu.

Przybysze zorientowali się że wkroczyli do krainy bajkowej. Ich zwierzęta zaczęły skubać wspaniałą, różową trawę na łące, a sami wędrowcy odczuli ogromną senność. To chyba jakiś czarodziej nasyłał na ludzi sen. Nikt nie zdążył położyć się na posłaniach, każdy kładł się na ziemię tam gdzie stał i natychmiast zasypiał. Joszel przez jakiś czas walczył jeszcze ze snem, ale w końcu i on zwałił się na ziemię i zasnął.

To była ziemia niczyja, bezludna i kolorowa. Tutaj rodziły się czarodziejskie bajki ludowe i niby rajske ptaki leciały stąd we wszystkich kierunkach, do najdalszych zakątków Kaszub, do dzieci. Tutaj była kraina czarodziejskich baśni, nazywała się Bajkową Polaną.

Joszel spał długo, bardzo długo, całą noc i prawie cały następny dzień. Obudził się gdy słońce chyliło się ku zachodowi. Zobaczył zamknięte w drewnianych klatkach zwierzęta przyprowadzone przez Domatowian, krążące nad nimi stada czerwonych kruków i żółtych wron. Na łące pasło się stado kóz i kozłów z pięcioma rogami. Rosła tam również bardzo wysoka, samotna sosna górująca nad całą okolicą. Na sośnie było gniazdo czerwonego kruka który karmił właśnie swoje pisklęta.

— Co to za kozy pasą się na łące, czemu żaden pastuch ich nie pasie? — zapytał Joszel czerwonego kruka.

— To nie są zwykłe kozy, to są kozy Baby Jagi — odpowiedział kruk.

— Czemu na łące nie ma żadnego człowieka, gdzie zniknęli moi ludzie? — dopytywał się Joszel.

— Nie wiem.

Wtedy podeszła do smętka jedna z kóz. Z oczu kapały jej fioletowe łzy, patrzyła na smętka z wyrzutem. Joszel przyjrzał się jej dokładniej... i poznał w niej swoją Anę.

— Już wiem, co to za kozy pasą się na łące — mówił smętek. — To jakiś czarodziej zamienił wszystkich przesiedleńców w stado kóz. Nie płacz, moja Ano: odnajdę czarodzieja, sprawię mu porządne lanie i znów wszyscy będziecie ludźmi.

Ana nic na to nie odpowiedziała. Rozumiała ona wszystko, co mówił do niej smętek, ale będąc kozą nie potrafiła mówić ludzkim językiem.

Joszel poleciał do gniazda czerwonego kruka, wyjął z gniazda jedno z piskląt.

— Pourywm głowy wszystkim twoim pisklętom jeżeli natychmiast nie powiesz mi, gdzie znajduje się czarodziej, który zamienił moich ludzi w stado kóz — zagroził Joszel.

— Nie czyń krzywdy moim pisklętom, wszystko ci opowiem — mówił czerwony kruk. — Na skraju czarodziejskiej łąki stoi chatka Baby Jagi. To ona zamieniła wszystkich twoich ludzi w stado kóz. Ciebie też chciała zamienić w kozła, ale jej czary na ciebie nie działały. A

wasze zwierzęta by nie jadły czarodziejskiej trawy zostały zamknięte w klatkach. Trawę na czarodziejskiej łące mogą jeść tylko kozy Baby Jagi.

Smętek poleciał do chatki czarownicy. Chatka stała na kurzych łapkach. W chatce leżała na posłaniu Baba Jaga. Smętek chwycił Babę Jagę za jej kościste nogi, wyciągnął z chatki i zaczął bić ją po plecach polanem. A ponieważ nie odniosło to żadnego skutku - dalej spała jak zabita - zaczął walić ją tym polanem po głowie. Wreszcie ocknęła się.

— Strasznie boli mnie głowa. Jeszcze nigdy mnie tak nie bolała — mówiła Baba Jaga.

Otworzyła oczy i zobaczyła smętka.

— Czego chcesz ty rogaty potworze? — zapytała go.

— Wszystkie swoje kozy znów zamienisz w ludzi i uwolnisz nasze zwierzęta z klatek! — rozkazał smętek i jeszcze raz jej przywalił.

Przestraszona i obolała Baba Jaga w końcu wyszeptwała czarodziejskie zaklęcie:

— Remezaba akubaba, rozkazuje Baba Jaga, wszystkie moje kozy znów są ludźmi a zwierzęta uwolnione — rzekła.

Smętek przywiązał Babę Jagę do polana i rzucił jak oszczepem bardzo daleko, pewnie aż do Gór Świętokrzyskich.

Diabeł poleciał na spotkanie z przesiedleńcami, zaklęcie zadziałało, odetchnął z ulgą.

Ana zrobiła wymówki Joszelowi:

— Jak mogłeś zaprowadzić nas w takie miejsce! Gdzie miałeś oczy, smętku!

— Ja nie chciałem zaprowadzić was do czarodziejskiej krainy, ziemia dla was jest dalej — usprawiedliwiał się Joszel. — Sam nie wiem, jak tutaj trafiłem.

Następnego ranka wyzwoleni przez Joszela wędrowcy ruszyli w dalszą drogę.

Około południa smętek znów wzniósł się do góry ale szybko wrócił bo ich upragniona ziemia była tuż obok. W końcu dotarli na miejsce.

Przed nadejściem zmroku przesiedleńcy rozbili namioty, kobiety ugotowały kolację, a po spożytym posiłku i pracowicie spędzonym dniu wszyscy zasnęli kamiennym snem wokół dogasających ognisk.

Była pełnia księżyca, noc cicha, pogodna. Poświata księżyca przekształciła te bezludne okolice w świat tajemniczy i prześliczny. I oto, obok dogasających ognisk pojawiły się jezornice z pobliskiego jeziora. Jezornice przytulały się do mężczyzn, budziły ich ze snu, zaglądały im w oczy, a potem uprowadzały ich w nieznanym kierunku. Mężczyźni nie wydając z siebie żadnego głosu szli posłusznie za jezornicami jak niewolnicy.

O świcie przesiedleńcy obudzili się ze snu... i wtedy okazało się, że z obozu zniknęli wszyscy dorośli mężczyźni, za wyjątkiem starców.

— Co się stało z naszymi mężczyznami? — pytały smętka przerażone kobiety.

— Waszych mężczyzn porwały jezornice — powiedział Joszel. — Mężczyźni są im potrzebni dla przedłużenia gatunku. Ale po kilku godzinach albo po kilku dniach zwrócą wam one waszych chłopów.

Nie sposób w tym miejscu opisać gniew i oburzenie kobiet. Zupełnie zapomniały one o gotowaniu śniadania, stały wokół wygasłych ognisk i gadały, gadały bez ustanku, nazywając jezornice awanturnicami i bezwstydnicami. Ale po jakimś czasie jezornice nieoczekiwanie pojawiły się w obozie przesiedleńców, razem z porwanymi mężczyznami, całe to towarzystwo dźwigało kosze napelnione rybami oraz kobiałki brzozowe pełne jagód i zeszłorocznych orzechów.

— Wybaczcie nam, że bez waszej zgody wypożyczyliśmy sobie waszych mężów, synów i braci — mówiły jezornice, zwracając się do kobiet. — Musiałyśmy porwać waszych mężczyzn, oni byli nam bardzo potrzebni. Częstujcie się naszymi jagodami, orzechami i rybami.

Joszel zorientował się że przybysze nie mogą razem mieszkać i obcować z jezornicami.

Opowiedział jezornicom że zna jezioro gdzie jest więcej ryb, a w lasach więcej jagód.

-To jezioro będzie dla was dobre – przekonywał.

Jezornice zgodziły się na przeprowadzkę. Smętek dzień i noc przenosił je ponad drzewami. Jezioro te od zachwalania przez smętka otrzymało nazwę Dobre.

Smętek pochwalił to nowe i piękne miejsce zasiedlone przez Domatowian.

— Pragnę tutaj zostać na zawsze — powiedział. — Chciałbym zbudować tu wioskę, która będzie nazywała się Orle

— Ja również chętnie tutaj zostanę — oświadczyła Ana. Inni też ochoczo przytaknęli.

A tymczasem Smętek nie tracąc ani chwili zabrał się do karczowania lasu, do budowy domu mieszkalnego i zabudowań gospodarczych. Przygotował także teren pod ziemię orną. Inni przesiedleńcy również nie próżnowali. Wkrótce powstała tutaj wieś Orle, która istnieje do dnia dzisiejszego.

Pewnego dnia Ana i Joszel, zgodnie z obietnicą, stanęli na ślubnym kobiercu w pobliskim kościółku w Górze, do dzisiaj nikt nie wie dlaczego ksiądz wyraził zgodę. Może ze względu na dobre uczynki smętka, za uwolnienie ludzi od najeźdźców, za miłość do Any, za zrezygnowanie czynienia zła ?

Sąsiadki Any często dyskutowały o tym, czy jej dzieci będą rodziły się z różkami.

— Ich ojcem będzie smętek Joszel, więc muszą one mieć różki — mówiły sąsiadki.

Ku wielkiemu rozczarowaniu sąsiadek dzieci Any rodziły się jednak bez różków. No bo różki może mieć tylko smętek, a dzieci Any nie były przecież nimi.

Upływały dni, tygodnie, miesiące i lata, płynęły powoli, ale nieprzerwanie, tak jak nieprzerwanie płynie rzeka Reda. Piękna Ana postarzała się, posiwiały jej włosy, pojawiły się zmarszczki na jej twarzy, ale Joszel kochał ją tak jak dawniej.

Gdy stara Ana umarła, wtedy smętek chwycił w swoje ramiona jej duszę.

— Pozostaniesz ze mną na zawsze, moja ukochana, już nic nas nie rozłączy—mówił Joszel.—Na falach eteru będziemy unosić się nad naszymi Kaszubami, nad Orlem, nad Puszczą Darżlubską, nie będzie nam potrzebne ani niebo, ani piekło.

I nagle zjawił się anioł.

—Dusza Any jest własnością nieba—rzekł anioł. — Szczęście innych ludzi, szczęście narodu było dla niej ważniejsze od własnego szczęścia i dlatego jej dusza będzie zawsze przebywała w rajskich ogrodach, a są one piękniejsze nawet od Puszczy Darżlubskiej: śpiewają tam rajske ptaki, liście na drzewach i krzewach zawsze są zielone, a woda w strumieniach jest czysta i kryształiczna.

W tym momencie nie wiadomo skąd zjawiły się jezornice, zgodnie i pięknie chórem zaśpiewały:

Zstąpił z nieba biały anioł...

Pod postacią młodzieńca

Cóż za widok uroczy

Na głowie aureola z wieńca

Lekko przymrużone oczy

Smętek załamany

Nieborak w żalobie

Musi oddać duszę Any

Walka mu nie w głowie

Anioł poniósł duszę Any do nieba, a smętek został na Kaszubach, często odwiedzał miejsca, po których stapały kiedyś nogi Any Jeszcze wielokrotnie był świadkiem gnębienia Kaszubów przez najeźdźców. On ciągle jest obecny bo i smutek narodu często bywa.

Czy Wy drodzy czytelnicy kaszubskich legend słyszeliście, jak w czasie zamieci śnieżnej wyje wiatr? Mówią, że to smutek Joszel płacze po swojej ukochanej.